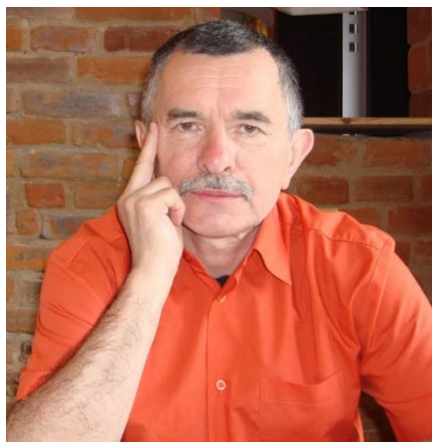


Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (74)

(fragmenty)



Pocieszenie

Rozmowa przez telefon z przyjacielem, Wiesławem Nowakiem, który – jak to kiedyś napisałem – „nic nie robi tylko lata”, bo jego ludzie z firmy Novmar są porozrzucani po całym świecie.

Pytam, jak się czuje, bo niedawno dolegał mu kręgosłup.

– Stosunkowo nieźle. To znaczy do wytrzymania...

– Wiem, nie masz czasu na chorowanie – dopowiadał.

– Pocieszam się – śmieje się Wiesiek – że nie będę miał też czasu umrzeć...

Pod słuchuje tę rozmowę mój 3-letni wnuk Kubaś, który ni stąd, ni zowąd z prze-mądrzałą miną tak oto się odzywa:

– Wiesz? Jak znikną czasy, to nikt nie będzie miał czasu...

(Sierpień 2012 – Holandia)

Czarodziejka z obrazu Vermeera

Kto wie? Może nic nie dzieje się przypadkiem, a każdy przypadek bywa starannie przygotowany i wkomponowany w ludzkie losy?

Kamyk pociąga lawinę, kropla drażni skałę, zbiegi sprzyjających okoliczności zbiegają się w jedno?

...Było to dawno temu albo, jak wolą starsi ludzie, bardzo niedawno, w latach 80. ubiegłego stulecia, gdy w jednej z krakowskich księgarni kupiłem reprodukcję obrazu Vermeera „Dziewczyna czytająca list przed otwartym oknem”. Vermeer zawsze działał na moją wyobraźnię. Z pomocą znanych sobie czarów malarskich potrafił wstrzymać w obrotach kulę ziemską, dzięki czemu na jego płótnach stróżka mleka mogła się łączyć z dzbanką do misy przez setki lat, a otwarte okiennice wyrażały wciąż tę samą tęsknotę.

Oleodruk powiesiłem na ścianie. Nie przewidywałem, że może się okazać pierwszą kostką

w układance przyszłych losów córki Asi, wówczas uczennicy podstawówki.

...Mijały lata, obraz zadomawiał się w mieszkaniu przy krakowskiej ulicy Pigoń, stając się prawie niewidoczny, bo tak się dzieje ze wszystkim, co przyswojone i opatrzone...

Raz na parę lat goście przypominali nam o jego istnieniu i wtedy na chwilę zauważaliśmy kobietę wczytaną w list, zapewne od męża lub narzeczonego, który wypłynął – jak to czyniło wielu Holendrów – w poszukiwaniu złotego runa.

...Wiatach 80., gdy córka Asia studiowała germanistykę, reprodukcję Vermeera wywieźliśmy do letniego domu na wsi i zawisła obok wiejskich pejzaży malarza księdza Nowaka, snopków i żniwiarzy, starej chałupki pod strzechą... Wtedy znowu zaistniała, by po chwili zniewidocznić.

...Ale bohaterka obrazu specjalnie się tym nie przejęła. Mogła do woli kontemplować treść listu, mogła zastanawiać się w ciszy, czy jej ukochany żywi do niej gorące uczucie, czy też może – nie daj Boże! – jak większość niecnot-marynarzy znalazł pocieszenie w ramionach portowej miłości lub założył na Antylach czy na jakiejś wyspie indonezyjskiej nową rodzinę...

...Znów upłynęło ileś tam wody w Wiśle...

Aśka poznała i poślubiła Holendra Hansa, który studiował kiedyś architekturę... w Delft, przyszedł na świat ich dzieci – Nina i Jasie. Rodzice objechali (oblecieli) z nimi Szwajcarię i Singapur... potem wrócili po kilku latach do Krakowa.

Obdarowali się nawzajem językami, to znaczy on nauczył się języka polskiego, ona opanowała na tyle holenderski, że podjęła się lektoratu tego języka na jednej z krakowskich uczelni. W lipcu została skierowana przez tę uczelnię na kurs, aby pogłębiła znajomość języka na uniwersytecie w Delft...

Wtedy dopiero zaświtało mi w głowie, że mój zakup przed laty obrazu przedstawiającego wnętrze domu w Delft nie był przypadkowy, ba, że istnieje irracjonalny związek pomiędzy tym faktem a poznaniami się Hansa i Aśki i dalszym ciągiem wydarzeń, co obwieściłem półzartem rodzinie na wspólnym pikniku z córkami, zięciami i wnukami.

...Oczywiście Hans, jak wszyscy Holendrzy zatwardziały pragmatyk, wzruszył ramionami i uznał, że to poetycka fantazja. Lecz wnukom ta licentia poetica przypadła do smaku i wydało się prawdopodobne – jak istnienie krasnoludków i wróżek – że dziewczyna z obrazu jest czarodziejką. Owa czarodziejka spowodowała przyjazd ojca do Polski, ożenek w Krakowie, no i ich pojawienie się na świecie. W myśleniu dzieci i poetów – jak wiadomo – najbardziej niemożliwe staje się możliwe, mimo że w oczach uczepionych jednomyślnego rozsądku dorosłych wygląda to na zmyślenie i bajkę.

...W związku z opisaną geometrią losową i zatoczeniem koła od Delft na oleodruku do Delft rzeczywistego nie mogłem w końcu nie skorzystać z zaproszenia zięcia do Holandii. Pojechaliśmy autem – z nim i wnukami – żeby odebrać w Delft kończącą tam kurs Aśkę i

pooglądać na żywo dzieła niderlandzkich mistrzów... Przy okazji miałem możliwość skonfrontowania obrazu drugiej ojczyzny wnuków z polskimi stereotypami.

Bo cóż się wie na temat Holendrów? W obiegowym odczuciu sięgają zgorszenia, legalizując eutanazję, miękkie narkotyki, prostytucję czy wprowadzając równe prawa dla gejów i lesbijek. Dragi, geje, futbol – to najprostsze polskie skojarzenia z Holandią. A przecież ten miniaturowy kraik miał i ma niewspółmiernie – w stosunku do obszaru, który zajmuje i liczebności obywateli – znaczenie w świecie i to nie tylko w malarstwie i futbolu.

Pomnik kreta

Zanim dotarliśmy do Delft, zahaczyliśmy – po 10-godzinnej jeździe (1200 kilometrów) o Eindhoven, gdzie mieszka matka zięcia. Po obiedzie u niej ruszyliśmy do odległego o 20 km miasteczka Best, gdzie mamy mieszkać przez pierwszych parę dni.

Tam natykamy się na dwumetrowy pomnik kreta. Dowiaduję się, że został wzniesiony aby upamiętnić wydrążenie pod ziemią trzykilometrowego tunelu pociągowego. Mieszkańcy miasteczka nie zgodzili się, żeby pociągi przebiegające czterema torami nekowały ich ustawicznym hałasem, dlatego projektanci musieli znaleźć inne rozwiązanie. Ta wiadomość budzi we mnie lekkie zdziwienie, że dba się tu naprawdę o ludzi i liczy ze zdaniem obywateli, gdy w naszej fasadowej demokracji taki protest byłby traktowany jako fanaberia...

W trakcie jazdy samochodem zwracam uwagę na widok „wielkiego nieba”, z tym że ma ono inny wygląd niż podziwiane przeze mnie przed laty amerykańskie „big sky”.

Optyczne złudzenie rozległego nieba wynika z równinnego krajobrazu i holenderskiej depresji, bo miejscami w trakcie jazdy do Delft znajdujemy się przecież 10, 20, a nawet 30 metrów poniżej poziomu morza. Na wielu obrazach niderlandzkich mistrzów, nie tylko w słynnych pejzażach morskich Ruisdaela, to przestrzenne niebo nie występuje jedynie jako tło. Należałoby w tym względzie wprowadzić rozróżnienie między pejzażowym malarstwem niderlandzkim a flamandzkim. U Holendrów niebo zajmuje większą albo dużą część obrazu, linia horyzontu zwykle jest nisko, na niebie dzieje się tak dużo, że jest ono jakby częścią akcji, przemawia, nieraz groźnie, gdy u Flamandów niebo jest tylko wypełnieniem, dodatkiem, bo ich malarze skupiali się bardziej na ziemskim detalu...

Niebo z przestrzenną perspektywą bywa najatrakcyjniejsze widokowo w pogodne dni, gdy toczy się po nim bele cumulusów bądź wiszą jak wymiona u krów białe obłoki. Przywołanie porównania z krowami wydaje się zasadne, bo natrafiamy na stada czarno-białych i biało-brązowych dawczyń mleka pasące się na pastwiskach, a także na konie i barany. Świń tu podobno więcej niż ludzi, a wierzami że szklarni karmi się pół Europy, choć w rolnictwie zatrudnionych jest tylko 2 proc. Holendrów.

cdn.